

Anna Dryblak: Przeoczona rewolucja. Refleksje na marginesie synodu amazońskiego

Warto uświadomić sobie, że także i my w coraz większym stopniu zatracamy się w świecie i rzeczywistości, która jest przede wszystkim rzeczywistością „tu i teraz”, rzeczywistością rządzoną przez konsumpcjonizm, bynajmniej nie tylko o wymiarze materialnym. Dlatego Europa traci swoje znaczenie w świecie nie tylko w wymiarze politycznym czy gospodarczym, ale także kulturowym – pisze Anna Dryblak, komentując postanowienia synodu amazońskiego.

Od dłuższego czasu w centrum świata katolickiego zachodzą znaczące zmiany. Można się spierać, kiedy się one zaczęły i gdzie jest ich źródło. Ostatnie miesiące przyniosły jednak nowe zdarzenia i debaty, koncentrujące się wokół kwestii poruszanych podczas synodu amazońskiego. W jego toku obserwować mogliśmy nie tylko dyskusje dotyczące małżeństw duchownych, *viri probati*, kapłaństwa kobiet, roli świeckich w życiu Kościoła, ale także nowe, mogące budzić niejednokrotnie zaskoczenie, przywodzące na myśl pewne wątki teologii wyzwolenia z jednej strony, a z drugiej – zakrawające na swego rodzaju synkretyzm religijny, których symbolem niejako stała się figurka Pachamamy. Mówiono o szkodliwości prozelityzmu, choć trudno doprawdy byłoby wskazać, gdzie i przez kogo w świecie katolickim ów prozelityzm jest praktykowany.

Istota tych zdarzeń nie będzie jednak przedmiotem refleksji w tym tekście. Powinny być one – i niejednokrotnie przecież są – komentowane przez osoby bardziej do tego powołane. Nie sposób jednak nie oprzeć się pytaniu o to, dlaczego podejmowane w odległej Ameryce Łacińskiej, ale także w mniej odległym Rzymie debaty w tak niewielkim stopniu odbijają się echem w Polsce – kraju, który wszak zwykle określany był jako katolicki (choć w zależności od kontekstu określenie to nabierało wydźwięku pozytywnego, bądź pejoratywnego). Nasza wiedza o tym, czym żyje Kościół powszechny, wydaje się znikoma. Może warto się zastanowić, z czego to wynika? Czemu te tak ważne sprawy tak mało w gruncie rzeczy nas obchodzą?

Najłatwiej rzecz jasna powiedzieć, że wynika to z kulturowego raczej niż religijnego pojmowania katolicyzmu przez duży odsetek naszej społeczności. Jest w tym z pewnością wiele racji. Często obserwowane jest przecież zjawisko „zaliczania” poszczególnych etapów, w które nieraz przeobraża się przyjmowanie sakramentów. Przestają być one wówczas – z punktu widzenia zainteresowanego – *znakiem widzialnym łaski niewidzialnej*; stają się kolejną „sprawnością”, której przyznania oczekuje się bez mrugnięcia okiem, a która pozwala oddać sprawiedliwość tradycji, zorganizować dziecku uroczystość, nadać zawarciu związku małżeńskiego elegancką oprawę. Oczekiwania Kościoła związane z przygotowaniem do sakramentu, zrozumieniem jego istoty traktowane są jako „włożenie z butami w cudzie życie”. Czasem można odnieść wrażenie, że jest to jakaś równoległa rzeczywistość, rozpięta pomiędzy dwoma wyobrażeniami o Kościele – jednym będącym odbiciem wspólnoty kierowanej przez „naszego papieża”, któremu się klaszcze, ale którego słowom nie poświęca się zbyt wiele uwagi, i drugim, wydawałoby się skrajnie odmiennym – zaczerpniętym z filmów „Kler”, „Boże Ciało”, a bazującym na

zadawnionej niechęci wobec urojonego księdza z rozmów toczonych podczas rodzinnych obiadów, niczym bohater „Wesela”, dbającego głównie o zysk. Oba – choć wydają się tak różne – są często podobnie powierzchowne i bezrefleksyjne.

A przecież nie brakuje w Polsce katolików, którzy wierzą w Jezusa Chrystusa – Prawdziwego Boga i Prawdziwego Człowieka, w mistyczny związek Chrystusa z Kościołem: świętym, lecz złożonym z grzeszników. Nie brakuje wierzących, że na tej ziemi są jedynie pielgrzymami i że życie doczesne to dążenie do osiągnięcia zbawienia i nieustanne stawianie czoła złu oraz grzechowi. Nawet wśród tego ścisłego grona osób, dla których wiara jest istotą życia, niewiele mówi się o tym, co dokonuje się obecnie w Kościele powszechnym. Czasopisma katolickie w niewielkim stopniu podejmują ten temat. Być może do pewnego stopnia wynika to z naszych obaw, może jest to swego rodzaju próba zaklinalna rzeczywistości... Często boimy się tego, co mogą przynieść zmiany, ale z drugiej strony obawiamy się też oponować. Z różnych względów. Czasem przyjmując, że nie do nas należy krytyka posunięć hierarchii kościelnej, jednocześnie w duchu ciesząc się z wystąpień kardynałów, którzy zdecydowali się przedstawić Stolicy Apostolskiej słynne *dubia*[1]. Czasem może uznając, że nie należy doprowadzać do podziałów i dyskusji wewnątrz wspólnoty i tak znajdującej się w trudnej sytuacji ze względu na krytykę płynącą szeroką falą ze świata zewnętrznego.

Nie chodzi już jednak nawet o wchodzenie w polemikę i krytykowanie tego, co dzieje się w sercu katolickiego świata – chodzi o samo wykazanie zainteresowania i przejęcie się tym, co się na naszych oczach dokonuje. Dlaczego tego zainteresowania jest tak niewiele? Być może warto zrobić rachunek sumienia z naszej własnej postawy i

*Żyjemy wciąż wspomnieniami
o czasach, kiedy na Stolicy
Piotrowej zasiadał Papież-
Polak, ale tak mało
angażujemy się w powszechne
życie Kościoła, jakby ten nasz
był odrębnym światem, w
którym nadal będziemy
funkcjonować „po swojemu”*

stosunku do spraw
fundamentalnych.
Często może po
prostu czujemy się
bezpieczni w naszym
zaścianku,
prezentując
ambiwalentną
postawę wobec tego,
co dzieje się poza
nim, postawę, którą
dobrze opisać można
frazologizmem:
moja chata z kraja.

Postępujemy niczym Tolkienowscy hobbiti, którym wydaje się, że mają swój mały światek i niewiele obchodzi ich to, co dzieje się poza jego granicami; sądzą, że wojna, która się zbliża, ich samych nie dotknie. Jakże złudne okazuje się to mniemanie... Podobnie i my, żyjemy wciąż wspomnieniami o czasach, kiedy na Stolicy Piotrowej zasiadał Papież-Polak, cieszymy się beatyfikacją kardynała Wyszyńskiego, ale tak mało angażujemy się w powszechne życie Kościoła, jakby ten nasz był odrębnym światem, w którym nadal będziemy funkcjonować „po swojemu”. Chcemy widzieć Kościół powszechny przez pryzmat naszych wyobrażeń o nim i chowamy głowę w piasek. Nie dostrzegamy – lub nie chcemy dostrzec – tego, co dzieje się w świecie. A przecież (poza tym, że dajemy w ten sposób świadectwo naszej krótkowzroczności) zatracamy w naszej świadomości powszechny charakter Kościoła. Nie żyjemy też w pełni Jego życiem – zaczynamy funkcjonować jak mijający się w progu domownicy, zbyt zajęci własnymi sprawami, by wykazać zainteresowanie drugą osobą. Bez echa przeszła w Polsce zeszłoroczna obrazoburcza Gala Met[2], którą metropolita Nowego Jorku uznał zresztą za nieszkodliwą. Podejmowane dyskusje w kwestiach

płciowości, seksualności i obyczajowości są głównie reakcją obronną na wzmożone działania środowisk lewicowych. Wydaje nam się, że to wystarczy. Ale świat nie jest już taki, jakim go sobie wyobrażamy. W tej rzeczywistości nasze milczenie oznaczać będzie przyzwolenie. Cokolwiek na ten temat nie myślimy, musimy sobie z tego zdawać sprawę. Jak to trafnie ujął Tomasz Terlikowski: „Do Polski te zmiany też dotrą. W związku z tym, że udajemy, że ich nie ma, to szybciej niż się spodziewamy”.

Może warto zresztą uświadomić sobie, że także i my – deklarujący się jako wierzący – w coraz większym stopniu zatracamy się w świecie i rzeczywistości, która jest przede wszystkim rzeczywistością „tu i teraz”, rzeczywistością rządzoną przez konsumpcjonizm, bynajmniej nie tylko o wymiarze materialnym. Dlatego Europa traci swoje znaczenie w świecie nie tylko w wymiarze politycznym czy gospodarczym, ale także kulturowym. Cóż może bowiem w tej chwili świata zaoferować? W największym stopniu to, co Jan Paweł II określał cywilizacją śmierci. Choć często tego nie dostrzegamy, nie czynimy tego świadomie, ale i nas dotyka ten sposób myślenia. Także my coraz rzadziej czynimy refleksję nad tym, co duchowe, bo refleksja wymaga czasu, a my żyjemy w ciągłym pędzie, tracąc z oczu rzeczywistość nadprzyrodzoną. Często zapominamy, że aby drzewo rosło zdrowe, zdrowy musi być i jego korzeń – a u korzenia musi być żywa wiara w Chrystusa, Jego zbawcze dzieło i świadomość, iż nasze życie to przede wszystkim podążanie ku Niemu. Wiele lat temu, odnosząc się do założeń teologii wyzwolenia, Jan Paweł II podkreślał, że zaangażowanie polityczno-społeczne nie przynosi człowiekowi zbawienia, zaznaczając: „błędem jest twierdzenie, że wyzwolenie polityczne, ekonomiczne czy społeczne pokrywa się ze zbawieniem przyniesionym przez Chrystusa”. „Wyzwolenie jest przede wszystkim i w pierwszym rzędzie wyzwoleniem z największej niewoli grzechu” – wyjaśniał kard.

Ratzinger. W późniejszym czasie niemiecki hierarcha, podkreślając znaczenie rozkładu liturgii dla kryzysu Kościoła, wskazywał na zagubienie jej istoty, pisząc: „Bo jeśli w liturgii nie pojawia się wspólnota wiary, powszechna jedność Kościoła i jego historii, tajemnica żyjącego Chrystusa – to wobec tego, gdzie lub w czym zostaje wyrażona duchowa istota Kościoła? Wspólnota celebruje wtedy samą siebie, niepotrzebnie zadając sobie trud”. W świecie, jaki nas otacza i który współtworzymy, to zagrożenie „celebrowania siebie samych” staje się coraz bardziej realne na wielu płaszczyznach, a może nawet już stało się rzeczywistością, której nie jesteśmy w pełni świadomi. Czy jesteśmy wciąż jeszcze tymi, którzy – jak już pół wieku temu pisał Dietrich von Hildebrand – „zdają sobie sprawę z metafizycznej sytuacji człowieka”, którzy „nie ogłuchli jeszcze na głos Chrystusa wśród hałaśliwego handlu tanimi i powierzchownymi formułami, którzy nie dali się oczarować rzekomym dojrzewaniem człowieka nowoczesnego, których nie ogarnął niepokój związany ze współczesnym kryzysem wieku dojrzewania”?

Trzeba nam przypominać sobie nieustannie, co jest Istotą Kościoła, wiary, i jakie są nasze wobec tej Istoty zobowiązania. A potem przypomnieć sobie także słowa Apokalipsy: „Obyś był zimny albo gorący!”...

Anna Agnieszka Dryblak

Fot. Ronny Gängler CC BY-NC-ND 2.0

[1] Dokument ten – przedstawiony papieżowi 19 września 2016 r. przez kardynałów: Raymonda L. Burke’a, Waltera Brandmüllera, Carlo Caffarrę oraz Joachima Meisnera – zawierał prośbę o objaśnienie kilku kontrowersyjnych tez zawartych w adhortacji „Amoris laetitia”. W ślad za nim nieco ponad rok później szersze grono duchownych i świeckich przedstawiło Franciszkowi list zatytułowany „Correctio filialis”.

[2] Podczas gali MET 2018 można było oglądać kreacje stworzone przez czołowych przedstawicieli świata mody, „parafrazujące” elementy szat liturgicznych, a nawet idące krok dalej. Wśród wielu kontrowersyjnych stylizacji zobaczyć można było m.in. Lanę Del Rey w stroju nawiązującym do Siedmiu Bolesci Najświętszej Maryi Panny, czy Rihannę w mitrze. Gali towarzyszyła inauguracja wystawy pt. „Heavenly Bodies: Fashion and the Catholic Imagination”, na której znalazły się także eksponaty wypożyczone z Watykanu.